

Stanisław KRAJEWSKI

Verba volant, scripta manent

*Słowa ulatują, pismo pozostaje **

WSTĘP

Od 1957 r. ukazuje się nowe pismo periodyczne Instytutu Geologicznego pt. *Kwartalik Geologiczny*. W 1 zeszyte tego wydawnictwa Kolegium Redakcyjne w piśmie zatytułowanym „Od Redakcji” wyjaśnia przyczyny, które skłoniły Kierownictwo Instytutu Geologicznego do rozpoczęcia wydawania *Kwartalnika*. Z przedmowy tej wynika, że chodzi tu o udzielenie możliwie jak najszybszych informacji o pracach wykonywanych przez Instytut, które w dotychczasowych publikacjach ukazywały się często z dużym opóźnieniem, dochodzącym niekiedy nawet do kilku lat, z wielką szkodą dla pracowników i dla nauki.

Aby temu zapobiec, powołano do życia *Kwartalik*, dając możliwości szybkiego wydawania krótkich prac — do jednego arkusza włącznie, skracając w ten sposób znacznie cykl produkcyjny druku, co bardzo ułatwia pracę naukową. Autorzy przedmowy nie podali jednak drugiego celu przyspieszenia druku, któremu ma również służyć *Kwartalik*. Chodzi tu mianowicie o ochronę prac, które przez przeciąganie się cyklu produkcji, a niekiedy przez kompletne jej zaniechanie mogą w pierwszym wypadku spowodować dezaktualizowanie pracy, w drugim zaś nawet jej zniszczenie. Celem niniejszego artykułu jest właśnie omówienie tych spraw.

PRZYCZYNY OPÓŹNIANIA LUB NIEWYKONCZANIA PRAC

Im bardziej wydłuża się cykl produkcyjny książki, tym łatwiej może być ona narażona na wspomniany wyżej los — na dezaktualizację lub zniszczenie. Prace naukowe ulegają najczęściej zniszczeniu przez klęski żywiołowe, jak pożary i wojny, na które kraj nasz tak często bywał narażony. Wszyscy pamiętamy, jak wielkiego spustoszenia w tym względzie dokonały u nas dwie wojny światowe, a zwłaszcza druga i związana z nią

* Aktualność tego artykułu została tragicznie potwierdzona przez śmierć Profesora Stanisława Krajeńskiego w dniu 21 grudnia 1968 r. Są to Jego ostatnie słowa przeznaczone do publikacji. Odejście Profesora jest dla Zespołu Redakcyjnego ogromną stratą. „Kwartalik Geologiczny” znowdzięcza bowiem Zmarłemu troskliwą, życzliwą, bezinteresowną i wieloletnią pomoc w pracach redakcyjnych.

Zespół Redakcyjny

wroga okupacja. Przypomnijmy sobie tylko, ile bezcennego materiału zginęło w gruzach lub spłonęło w Warszawie — w Uniwersytecie Warszawskim lub w Instytucie Geologicznym, gdzie prócz zbiorów i książek ginęły również rękopisy, o które nam w tej chwili chodzi. To samo dotyczy także innych miast polskich. Nie były również oszczędzane rękopisy i w domach prywatnych, w których nieraz ukrywano je przed okupantem, gdzie ginęły one wraz z domami — w ich gruzach i zgliszczach, a często też i z autorami, skazanymi przez wroga na śmierć lub tułaczkę. Oczywiście i w czasach pokojowych też niszczały niewydane rękopisy, chociaż naturalnie w bez porównania mniejszym zakresie.

Poza zniszczeniem inna klęska czyhała również na rękopisy — była nią dezaktualizacja lub niewykończenie pracy przez autora. Im dłużej trwał okres produkcji lub co gorsza okres bezczynności z czekaniem na coś, najczęściej na wykończenie tekstu przez autora, a czasem nawet i na redaktora, tym bardziej rękopis tracił na wartości, która wreszcie równała się niekiedy nawet zeru, zwłaszcza jeśli autor zmarł, a nikt nie potrafił, czy nie chciał doprowadzić do końca jego pracy. Często w literaturze czy we wspomnieniach o zmarłym dowiadujemy się, o ile poruszana jest ta kwestia w ogóle, że autor pozostawił nie opublikowane lub co gorsza, nie wykończone rękopisy, nieraz przewyższające objętością i wartością to, co zdołał wydrukować.

Przyczyny niewykończania prac naukowych bywają różne: zwyczajne lenistwo, wstręt do pióra, wrodzona nieumiejętność pisania, często nie idące w parze z umiejętnością badania, przeciążenie pracą, rozpraszenie się na inne tematy znacznie odbiegające od opracowywanego zagadnienia.

Ciekawy psychologicznie bywa brak zainteresowania własną pracą w pewnym stadium jej rozwoju. Jeden z moich znajomych geologów powiedział mi wręcz, że dane zagadnienie interesuje go tak długo, dopóki rozwiązuje jakiś związany z tym problem. Po jego rozwiązaniu praca przestaje go interesować, on zaś przestaje nią się zajmować. A przecież od rozwiązania problemu do napisania pracy nadającej się do druku jest jeszcze daleka, a często żmudna i trudna droga, polegająca na drobiazgowym opracowywaniu szczegółów, które nie zmieniają już istoty problemu, więc nudzą autora, który z tego powodu nie chce się już więcej tym tematem zajmować i dlatego nie kończy jego opracowania.

Inną przyczyną niepisania lub niewykończania prac jest chęć autora, aby w ciągu swego życia złapać jak najwięcej tematów i zagadnień, wobec czego autor ten jest tak zajęty badaniem nagromadzonych zjawisk, że nie staje mu już czasu na pisanie. Często taki autor w pewnym momencie spostrzeża, że nazbierał za dużo materiału i przytłoczony jego ogromem staje bezradny, nie wiedząc co z tym materiałem począć, nie wiedząc nawet jak ten materiał uporządkować.

Czasami autor bierze się do zbyt trudnego zagadnienia, a zbyt późno orientuje się, że ma za mało do tego przygotowania, zwłaszcza jeśli chodzi o znajomość zagadnień z zakresu nauk pokrewnych. I on również staje bezradny i nie może dokończyć pracy.

Inny typ badacza to taki, który całe zagadnienie chciałby przedstawić wyczerpująco w jednej pracy. O jednym z badaczy tego typu wyraził się swego czasu znany z dowcipu z pewną domieszką złośliwości profesor geologii na Uniwersytecie Warszawskim Jan Lewiński: „Są tacy, którzy

chcieliby napisać wiekopomne dzieło w ten sposób, aby po nich na ten temat już nigdy nikt nic więcej nie mógł napisać, a ponieważ to jest niemożliwe, więc nie piszą nic". Z tym niepisaniem nic jest oczywiście pewna przesada, ale w każdym razie faktem jest, że badacze tego typu pisują bardzo niewiele, zwłaszcza jeśli ich dorobek pisarski porównamy z ich wiedzą i czasem poświęconym na badania.

Na koniec, oprócz wad samych autorów, jakie tu wymieniłem, należy szukać zła w pewnym typie wydawnictw — nieodpowiednich do ogłaszania w nich prac naukowych. Takim nieodpowiednim wydawnictwem w okresie międzywojennym były, niestety, *Posiedzenia Naukowe Państwowego Instytutu Geologicznego*.

Zasadniczo miały one służyć temu samemu celowi, jaki obecnie przyświeca *Kwartalnikowi*. Miały skracać znacznie okres produkcji publikacji, ułatwiać ich ukazywanie się i rozpowszechnianie. Rzeczywiście czyniły to, ale za jaką cenę?

Nie mogły one należycie spełniać swego zadania, gdyż były obciążone trzema błędami. Po pierwsze, zwłaszcza w początkowych latach swego istnienia, dawały na ogół streszczenia zbyt krótkie, tak że czasem trudno było nabrać należytego pojęcia o danym zagadnieniu. Krótkość tych komunikatów powodowała np., że dawano często tylko suchą i prawie nic nie mówiącą listę skamieniałości, zamiast podać choćby skrócony opis przynajmniej ciekawszych spośród nich. Po drugie *Posiedzenia* nie dawały zupełnie ilustracji, co ogromnie utrudniało zrozumienie tekstu, często nie bardzo jasnego, bo w wielkim skrócie, co w sumie odstręczało od czytania tych referatów. Wreszcie wielkim utrudnieniem dla cudzoziemskiego czytelnika był zupełny brak tekstów obcojęzycznych, nie licząc samego tytułu, który, oczywiście, prawie nic nie dawał obcemu czytelnikowi.

Z wymienionych tu niedostatków wynika, że *Posiedzenia Naukowe* były mało zachęcającą lekturą dla polskiego czytelnika, nie mówiąc już o cudzoziemskim. A dla autora? Różni autorzy różnie reagowali na *Posiedzenia* i sposób ich wydawania. Jedni traktowali je od niechcenia, aby zbyć. Inni, niestety, byli zadowoleni, że łatwym sposobem mogą dać, bez wielkiego wysiłku autorskiego, sprawozdanie ze swych robót, i sądzili, że to ich rozgrzesza za niepisanie większych prac. Niektórzy jednak, jak np. Jan Czarnocki, starali się, zwłaszcza w późniejszych latach, dawać obszerniejsze, wielostronicowe artykuły, z których można było dowiedzieć się czegoś więcej o wykonanych przez autora robotach, ale brak ilustracji zawsze utrudniał ich czytanie. Tak więc *Posiedzenia Naukowe* odgrywały podwójnie złą rolę w naszej literaturze geologicznej, gdyż — po pierwsze — dawały lakoniczne, przeważnie nie udokumentowane ilustracjami informacje, a po drugie — demoralizowały autorów, dając im możliwość publikowania wprawdzie szybko, lecz nie opracowanego należycie materiału z ich badań. Jeśli przyjrzymy się 42 zeszytom *Posiedzeń*, jakie wyszły w okresie międzywojennym, i zobaczymy, jak wielu autorów i jak często ograniczało się całkowicie lub w przeważnej części do publikowania w *Posiedzeniach*, dopiero w całej pełni zrozumiemy ich szkodliwą rolę.

Rozpisałem się nieco o różnorodnych przyczynach małej piśmienności niektórych autorów, gdyż jest ona obok klęsk żywiołowych, głównym powodem nieukazywania się nieraz cennego dorobku naukowego, który

w ten sposób całkowicie marnuje się, lub do ukazywania się zbyt późno, co prowadzi najczęściej do dezaktualizacji, która nieraz bardzo obniża wartość pracy. Dezaktualizacja ta staje się szczególnie niebezpieczna obecnie wobec niezmiernie szybkiego rozwoju nauk, co ze swej strony prowadzi również do nader szybkiego gromadzenia się materiału, jaki autor musi w swej pracy uwzględnić.

Pozwolę sobie wykazać, jak bywają opóźniane lub nie wykańczane prace, omawiając ich przyczyny i konsekwencje. Przedstawione tu przykłady pochodzą przeważnie z wydawnictw naszego Instytutu Geologicznego. Podaję też sposoby, jakimi usiłujemy te niedostatki naszych autorów zwalczać.

PRZYKŁADY SKUTKÓW NIEWYKONANIA PRAC LUB ICH NIEWYKOŃCZENIA

Pierwszy przykład wzięty jest wprawdzie z Włoch, lecz dotyczy polskiej pracy. Niedoszłym jej autorem był dr Zygmunt Bośniacki — lekarz i przyrodnik z Krosna, zamiłowany zbieracz i badacz kopalnych ryb starszego trzeciorzędu, obficie występujących w paleogeńskich łupkach menilitowych naszych Karpat. Miał on szczególnego pecha i piękne jego zbiory dwukrotnie zmarnowały się, a zamierzona praca nie doszła do skutku. O zbiorach będę mówił oddzielnie w innym rozdziale dotyczącym niszczenia zbiorów, tu zatrzymam się tylko na zmarnowanej pracy.

Zygmunt Bośniacki wcześniej przeniósł się na stałe do Włoch, gdzie wybudował sobie luksusową willę pod Pizą w Toskanii. Kontakt jednak z Polską i jej nauką nie stracił do końca życia. W 1911 roku wygłosił on na posiedzeniu Polskiego Towarzystwa Przyrodników im. Kopernika we Lwowie odczyt pt. „Flisz europejski”, opublikowany następnie w organie towarzystwa — *Kosmosie*, t. XXXVI, 1911. Był to skrót dłuższej pracy, która miała zawierać stratygrafię i paleogeografię fliszu oraz opis 91 gatunków ryb ze zbiorów autora, referat był tylko notatką tymczasową, w której ograniczył się on jedynie do podania listy form. Obszerna praca miała ukazać się później, do czego jednak nie doszło, co jest szczególną stratą dla nauki, gdyż zbiory Bośniackiego, na których została ona oparta, przepadły wraz z jego biblioteką i innymi zbiorami przeznaczonymi przez ich właściciela dla muzeum im. Dzieduszyckich we Lwowie. Ocalała jedynie wspomniana krótka notatka wydrukowana w *Kosmosie*.

Tutaj warto zaznaczyć, że kiedy Bośniacki obiecał zrobić zapis dla lwowskiego muzeum, miał już 74 lata, ale nie kwapił się z ukończeniem swej pracy, mimo że — jak się okazało — do końca życia pozostawało mu jeszcze 10 lat. Spowodowało to zmarnowanie długich lat pracy, na którą czekali specjaliści, a czego nie mogła zastąpić krótka notatka.

Inny fakt, który teraz przytoczę, dotyczy co prawda nie zniszczenia pracy, ale jej daleko zaawansowaną dezaktualizację. Z faktem tym zetknąłem się osobiście. W czasie mego pobytu w Borysławiu zaprzyjaźniłem się ze znanym, zdolnym, lecz niestety przedwcześnie zmarłym geologiem karpackim i naftowym Stanisławem Weignerem. Niechęć do pióra, wysokie wymagania od siebie samego co do treści i formy pisanej rozprawy oraz przeciążenie pracą zawodową sprawiły, że jego dorobek publikowany był stosunkowo niewielki — 13 pozycji bibliograficznych, wykonanych w ciągu pracowitego żywota. Spośród tych prac jedna zasługuje szcze-

gólnie na naszą uwagę, gdyż była to jego największa praca (63 strony), a zarazem na wysokim poziomie naukowym i ilustracyjnym, oraz ze względu na jej perypetie, które są tak ciekawe i pouczające, że pozwolę je sobie pokrótce opisać. Była to praca geologiczno-paleontologiczna pt. „Fauna piaskowców z Gołonoga”. Autor wykończył pierwszą część pracy, obejmującą wstęp i część najważniejszą — opis form paleontologicznych. Reszta pracy traktująca o wieku tych piaskowców pozostawała w szkicowym brulionie.

Wkrótce po ukończeniu pierwszej części pracy wybuchła pierwsza wojna światowa, którą Weigner spędził na froncie. Po zakończeniu wojny wrócił on wprawdzie do nauki, ale już do innej specjalności i do innego, praktycznego podejścia jako geolog naftowy, odchodząc daleko od stratygrafii karbonu i jego fauny. Jego uprzednio wykonana praca była naprawdę piękna i warto było ją wydać, do czego bardzo namawiali autora jego koledzy. Ale cóż, sprawa stała się nieaktualna, skoro praca była napisana przed kilku laty, a w tym czasie w krajach zachodnich wyrosła na ten temat duża literatura, której nie sposób było w tak poważnej pracy nie uwzględnić. Weigner przez dłuższy czas ludził się, że znajdzie kiedyś wolną chwilę na tę robotę, ale jej nie znalazł, a tymczasem lata mijały, a literatura, którą trzeba było uwzględnić, wciąż rosła.

Wreszcie autor przekonał się, że nie sprostą temu zadaniu i odesłał rękopis do Instytutu Geologicznego. Ja miałem ten zaszczyt pokazać go na Posiedzeniu (Naukowym P.I.G. Niestety, w *Sprawozdaniach Naukowych PIG* nie ma o tym żadnej wzmianki. Przypuszczam, że było to gdzieś między rokiem 1927 a 1930. Wszyscy zachwycali się tą pracą, a zwłaszcza wykonaniem rysunków. Autor był bowiem nie tylko znakomitym rysownikiem, ale również rozmiłowanym w pięknie esteta. Toteż fauna z Gołonoga pod mistrzowską ręką Weignera dawała nie tylko zgodny z rzeczywistością obraz o wartości dokumentu naukowego, ale posiadała również wielką wartość artystyczną. Wszyscy mówili zgodnie: „To trzeba wydać, ale kto to robi?”. Niełatwo było znaleźć amatora, który musiałby być geologiem, a zwłaszcza paleontologiem pierwszej klasy, a takiego trudno byłoby namówić do wykonania niewdzięcznej roboty — uzupełnienia cudzej pracy. Toteż talki autor nie znalazł się. I w dalszym ciągu mijały lata i rosła dalej literatura, którą trzeba by było uwzględnić.

Wreszcie w 1933 r. zupełnie niespodziewanie Stanisław Weigner, do tychczas zupełnie zdrowy, zmarł w wieku 49 lat na zapalenie wyrostka robaczkowego, nie doczekawszy wydania jego pracy. I dopiero w 1938 r. zdecydowano się wydać jej główną część, obejmującą wstęp i opis form, w 24 lata po jej napisaniu, a w 5 lat po śmierci autora. Tak długo zwlekano, najpierw autor, a następnie Instytut, aż wreszcie wydano pierwszą część pracy bez żadnych zmian ani uzupełnień, których nie było komu zrobić. Od Redakcji tylko podano, że praca była napisana w 1914 r. a w sprawie wieku fauny, która miała stanowić drugą część tej pracy, pozostawionej przez autora w szkicowym brulionie, zaznaczono jedynie, że wiek tej fauny był zdaniem autora dolnokarboński.

Był to klasyczny przykład zdezaktualizowania się pracy naukowej, którego w znacznej mierze można by uniknąć, jeśli praca ukazałaby się, gdy tylko na to pozwoliły warunki po pierwszej wojnie. Byłaby ona opóźniona najwyżej o 6 do 7 lat, a nie o 24. Warto tu również zaznaczyć, że praca ta

ukazała się w drugiej części tomu IX *Sprawozdań PIG.*, ostatniego, jaki ukazał się przed wybuchem II wojny światowej, która znowu na szereg lat uniemożliwiłaby druk tej pracy i nie wiadomo, czy w tych warunkach w ogóle ujrzałaby ona światło dzienne. Jest to groźne memento dla wszystkich, którzy z tych czy owych względów ociągają się bądź to z pisaniem, bądź też z drukowaniem prac.

Omówiwszy dwa przypadki smutnego losu prac naukowych, z których pierwsza w ogóle nie ukazała się w druku, druga zaś wyszła po 24 latach od chwili jej napisania bez aktualizacji, co znacznie zmniejszyło jej wartość naukową, przechodzę do następnych przykładów, kiedy nie ukończona przez autora praca zostaje w całości lub częściowo uzupełniona przez odpowiednich redaktorów.

Takim autorem był przede wszystkim Jan Czarnocki, znalkomity badacz Gór Świętokrzyskich, który wraz z Janem Samsonowiczem w okresie międzywojennym położył zręby pod nowe ujęcie geologii tego regionu. Badał też inne obszary Polski, przede wszystkim zapadlisko podkarpackie. Należał on do tego typu wymienionych przeze mnie geologów, którzy pochłonięci zbieraniem materiałów do swych prac nie mają czasu na równoległe ich opracowywanie. Toteż powstają u nich zatory nagromadzonego, a nie opracowanego definitywnie materiału.

Jan Czarnocki sądził, że kiedyś, u schyłku życia, znajdzie wreszcie czas na ostateczne opracowanie materiałów. Tymczasem, niestety, podobnie jak w przypadku Weignera, przyszła niespodziewanie śmierć (w 1951 r.), niwecząc wszystkie jego plany.

Na szczęście spuścizną naukową po Janie Czarnockim zainteresowało się i należycie ją oceniło Prezydium Rządu, które uchwałą z 11 czerwca 1955 r. postanowiło wydać te prace, powołując w tym celu specjalną komórkę pod nazwą Redakcja Naukowa Prac i Materiałów Jana Czarnockiego. Na czele tej komórki stanęli Stanisław Pawłowski i jego żona Katarzyna, córka Jana Czarnockiego. Był to bardzo szczęśliwy wybór, gdyż oboje włożyli w opracowanie powierzonego im materiału bardzo wiele pracy i trudu, a przy tym kierowali się nie tylko zainteresowaniami naukowymi, lecz również sentymentem rodzinnym, łącząc to z należytym przygotowaniem do tej pracy, znając doskonale całokształt zagadnień, w które wprowadził ich Jan Czarnocki.

Praca nad materiałem pozostawionym przez Jana Czarnockiego trwa już od 15 lat i przeciągnie się jeszcze przez lat kilka. Cały ten wielki materiał, obejmujący publikacje wydane za życia autora, a przeznaczone obecnie do reedycji, jak i rękopisy mające być po raz pierwszy zredagowane i wydane, posegregowano i podzielono tematycznie na 6 tomów: 1. Prace stratygraficzne, 2. Tektonika Gór Świętokrzyskich, 3. Materiały źródłowe, 4. Prace różne, 5. Surowce w Górach Świętokrzyskich, 6. Prace specjalne. Każdy z tych tomów składa się z kilku zeszytów, z których dotychczas wydano 7. Obejmują one 87 artykułów do reedycji oraz 31 rękopisów — o łącznej objętości 977 stron, 163 figur i 105 tablic. Przypuszczalnie jeszcze prawie drugie tyle pozostaje do wydania. Zaznaczyć przy tym należy, że redaktorzy w toku tych prac zostali nagle zaabsorbowani własnymi badaniami naukowymi o doniosłym znaczeniu państwowym i ekonomicznym, co niespodziewanie przedłużyło znacznie czas planowany na wydanie dzieł Jana Czarnockiego.

Te suche liczby świadczą — z jednej strony — o wielkiej pracy, jaką już wykonali i mają jeszcze wykonać redaktorzy, z drugiej zaś — o ogromie twórczości naukowej Czarnockiego. Wliczając do tego około 120 pozycji wydanych za życia autora, nie licząc tych, które teraz są lub będą reedytowane, widzimy, że za życia autora oraz po jego śmierci wydano dotychczas około półtorej setki jego prac.

Jeżeli teraz przyjrzymy się tym pracom pod względem ich objętości, to zobaczymy, że są to przeważnie prace drobne, z których blisko setka nie dochodzi do dziesięciu stron. Pozostałych 20 wyraża się dwucyfrowymi liczbami stron, a jedna tylko trzycyfrową. Jest to podstawowa praca o stratygrafii i tektonice Gór Świętokrzyskich — 172 str. Jak widzimy, Czarnocki, zmuszony brakiem czasu, rozmięniał się na drobne, w czym dużą rolę odegrały *Posiedzenia*. I dopiero pełne wydanie jego dzieł pokaże nam, zarówno w po raz pierwszy opublikowanych rękopisach, jak i w nowo opracowanych reedycjach, uzupełnionych licznymi przypisami redaktorów, którzy włożyli w to nie mniejszy trud niż w pierwsze wydanie rękopisów, prawdziwie wielką rolę Czarnockiego w poznaniu geologii dużej części Polski i wielki trud, jaki włożyli redaktorzy w udostępnienie jego prac. Bez tego trudu o wiele uboższa byłaby spuścizna po Janie Czarnockim!

Innego typu pracy redaktorskiej wymagała spuścizna dwóch geologów-tektoników, którzy wyszedłszy ze szkoły alpejskiej Maurice Lugeona w Lozannie, po powrocie do kraju kontynuowali prace nad naszymi górami systemu alpejskiego. Byli to Ferdynand Rabowski i Ludwik Horwitz. W redagowaniu ich prac chodziło nie jak zwykle o uzupełnienie prac niewykończonych, lecz o stworzenie, na podstawie pozostawionych przez autorów pomysłów, pracy nowej, a więc do pewnego stopnia oryginalnej.

Ferdynand Rabowski po powrocie do kraju zajął się problemami Tatr kontynuując koncepcje swego Mistrza Lugeona o płaszczowinowej strukturze Tatr. Opublikował on z tego zakresu 15 pozycji dotyczących Tatr, lecz niestety, były to przeważnie prace drobne, kilkunastonicowe, publikowane w *Posiedzeniach*. Dwie z nich nieco większe. Największa obejmująca 35 stron, wydana razem z W. Goetlem, dotyczyła, jak niemal wszystkie jego prace, płaszczowiny wierchowej. Pewną rekompensatą za ten skąpy plon tekstowy była *Mapa serii wierchowej Tatr Polskich 1 : 20 000*, wydana już po śmierci autora, która stanowiła jednak ważną podstawę do napisania pracy, o której będzie mowa.

Poza tą mapą Rabowski pozostawił bardzo wiele materiału obejmującego notatki polowe oraz liczne rysunki i szkice. Na szczęście cały ten materiał wraz z okazami został pieczołowicie przechowany, najpierw w Muzeum Tatrzańskim w Zakopanem, następnie w Krakowie, a wreszcie w Warszawie w odrestaurowanym Instytucie Geologicznym. Materiałem tym opiekował się Stanisław Sokołowski, również znakomity znawca Tatr, przyjaciel Rabowskiego i jego towarzysz w wielu wspólnych wycieczkach tatrzańskich. S. Sokołowski przekazał wreszcie cały materiał Rabowskiego Z. Kotańskiemu, zalecając mu jego opracowanie w 1952 r.

Zbigniew Kotański poświęcił temu opracowaniu 7 lat pracy. Chętnie podjął się tego zadania, chociaż nie znał osobiście Rabowskiego, więc nie kierował się jak Pawłowscy sentymentem, lecz własnymi zainteresowa-

niami tematyką tatrzańską, do której już wtedy okazywał wielkie zamiłowanie. A praca nie była wcale łatwa, jak to wskazuje zajęty przez nią czas. Trzeba było przekopać się przez olbrzymi materiał prac już opublikowanych i bez porównania większy materiał rękopiśmienny, poczynając od wspomnianej już mapy, przez całą masę rysunków, szkiców i tekstów rękopiśmiennych; przy czym materiał ten był często trudno czytelny, zwłaszcza nieraz zatarte ilustracje, jak to pokazuje redaktor w pracy na reprodukcji. Ale nie na tym koniec. Teksty Rabowskiego pochodzące z różnych czasów bywały nieraz sprzeczne ze sobą i redaktor stawał często przed trudnym problemem wyboru, wobec czego ostateczny tekst musiał zaopatrywać licznymi uwagami. Ponadto chęć zaktualizowania pracy powodowała, że redaktor musiał opatrywać dzieło licznymi uwagami i komentarzami, uwzględniając wyniki prac późniejszych autorów, w tym również swoje własne.

W ten sposób po siedmiu latach żmudnej pracy powstało wielkie dzieło pt.: *Serie Wierchowe w Tatrach Zachodnich* (Prace Instytutu Geologicznego, t. XXVII, 1959 r.), obejmujące 166 stron tekstu polskiego ze 127 rysunkami (przeważnie szkice tektoniczne) i 48 tablicami (16 fotografii, na pozostałych tablicach kolorowane rysunki). Cała praca podzielona została na 18 rozdziałów poświęconych poszczególnym odcinkom serii wierchowej. Praca ta, oparta w zasadzie na drukowanym i rękopiśmiennym materiale autora, stara się odzwierciedlić wiernie jego poglądy dotyczące geologii serii wierchowej, uzupełnione wynikami prac późniejszych autorów. Tak więc Kotański jest tu nie tylko redaktorem, ale do pewnego stopnia współautorem tej pracy, która bez jego wielkich starań nie byłaby w ogóle ukazała się. Dzięki niemu nasza geologiczna literatura tatrzańska wzbogaciła się o nową, dużą i poważną pozycję.

Podobne dzieje przechodziła praca nad materiałem drugiego geologa z Lozanny, Ludwika Horwitza, który wróciwszy do kraju poświęcił się badaniu Pienin — tego chyba najbardziej skomplikowanego tektonicznie odcinka Polski. Nad rozwikłaniem jego budowy pracował Horwitz przeszło dwadzieścia lat, aż wreszcie śmierć z ręki hitlerowców w 1943 r. położyła koniec jego pracowitemu życiu.

Opublikowany przez Ludwika Horwitza materiał dotyczący Pienin był stosunkowo niewielki. Z 28 prac poświęconych temu obszarowi ogromna większość — to krótkie sprawozdania zamieszczane w *Posiedzeniach*, chociaż niektóre z nich, mimo małych rozmiarów, mają decydujące znaczenie, jak np. *Nowy przekrój schematyczny przez Pieniński Pas Skalkowy* (1935). Jedyne większe praca poświęcona jest faunie warstw posidoniowych (1938), obejmuje ona 120 stron. Natomiast mało pisał Horwitz o tektonice, którą się żywo zajmował, a która sprawiała mu wiele kłopotu i zmuszała do kilkakrotnej zmiany poglądów na budowę Pienin, przysparzając tym samym niemało ambarasu redaktorowi w wyborze odpowiedniej interpretacji.

W przeciwieństwie do niewielkiego materiału drukowanego za życia Horwitza, ocalał duży materiał rękopiśmienny, niestety, niekompletny, gdyż w czasie powstania warszawskiego około 1/4 materiału uległa zniszczeniu. Natomiast w bardzo dobrym stanie ocalała mapa geologiczna Pienin w skali 1 : 10 000, włączona do dzieła, która była też bardzo pomocna w pracy redaktorskiej.

Materiałami pienińskimi Ludwika Horwita, podobnie jak tatrzańskimi Rabowskiego, zaopiekował się S. Sokołowski. Przekazał on je do opracowania Krzysztofowi Birkenmajerowi, który sam był już poważnie zaawansowany w badaniu Pienin i podobnie jak Kotański był zainteresowany pociągającą tematyką, więc wziął się energicznie do pracy. Uporządkował cały materiał, uzupełniając go i poprawiając błędy, powstałe często przy przepisywaniu, odcyfrowując nieraz z trudem zatarte miejsca, zwłaszcza na mapach, starając się zaktualizować pracę w 20 lat po jej napisaniu, oraz tłumacząc niemiecki tekst pracy pisanej w czasie okupacji, dodając wyniki nowszych prac, w tym wielu swoich własnych. Jak wielki to był trud, świadczy najlepiej olbrzymia liczba przypisów i komentarzy do tej pracy, wynosząca z górą 700 pozycji. Przedstawione przez redaktora materiały wypełniają dotkliwą lukę w stosunku do uprzednio opublikowanych tekstów Horwita, gdyż zawierają dokładny opis stosunków terenowych oraz lokalizacje stanowisk o znaczeniu paleontologicznym, często brakujące w pierwotnych opracowaniach. W ten sposób praca Horwita stawała się bardziej zrozumiała dla czytelnika i nabierała znaczenia dokumentacyjnego.

Redaktor uszeregował materiały dotyczące Pienin w 7 rozdziałach według ich poszczególnych odcinków. Każdy rozdział obejmował uwagi ogólne, głównie topografię i morfologię, a następnie stratyografię i tektonikę, czyniąc w ten sposób pracę bardziej przejrzystą dla czytelnika. Tak powstało dzieło *Budowa geologiczna Pienin* — Ludwika Horwita zredagowane przez K. Birkenmajera (Prace PIG, t. XXXVIII, 1963, stron tekstu polskiego 148, z mapą 1 : 10 000 w dwóch arkuszach, z 9 barwnymi przekrojami w tekście oraz dwoma w tekście w manierze czarnej, z czego jeden daje idealny przekrój tektoniczny przez Pieniński Pas Skalkowy w interpretacji autora).

Wielki trud redaktora tego dzieła polegał głównie na wprowadzeniu bardzo licznych, jak widzieliśmy, przypisów i komentarzy oraz na zastosowaniu przez niego przejrzystego układu całości. Oba te czynniki spowodowały, że dzieło to stało się bardziej zrozumiałe, nawet dla geologów dobrze zorientowanych w literaturze karpackiej, łatwiej dostępne i rozpowszechnione niż skomprimowany i trudno zrozumiały pierwotny tekst autora.

Wspomnę tu o jeszcze jednej pracy autora, który również wyszedł ze szkoły lozańskiej. Był nim Bohdan Świdorski, który po powrocie do kraju, w przeciwieństwie do wymienionych kolegów, pracował głównie w Karpatach fliszowych. Zakończył życie w 1943 r., umierając nagle po przejściach obozowych w Oświęcimiu.

Z pozostałych po nim materiałów zachowała się praca, nazwana przez redaktorów *Z zagadnień tektoniki Karpat północnych*. Niestety, jak z tekstu wynika, był to tylko fragment większej zaplanowanej pracy, lecz nie wiadomo czy napisanej w całości. W dodatku zachowany fragment był pozbawiony mapy, co bardzo utrudniało jego czytanie, zwłaszcza nie znającemu dobrze geologii Karpat. Aby temu zaradzić, J. Burtan i S. Sokołowski, który również i tą pracą opiekował się, opierając się na rękopisie Świdorskiego oraz na literaturze, narysowali taką mapę. Na mapę tę nanieśli elementy budowy Karpat wymienione w tekście, dodali też krótki tekst obcojęzyczny i tytuł pracy, którego rękopis nie posiadał.

Dzięki tej mapie tekst Swiderskiego stał się bardziej zrozumiały i łatwiej dostępny. Ponieważ autor omawia w pracy pojęcie autochtonu i parautochtonu, poprzeczne elewacje i depresje Karpat, wreszcie styl północnych Karpat fliszowych, dla którego zilustrowania posługuje się skonstruowaną przez siebie tabelą przedstawiającą wzajemne stosunki liczbowe form w poszczególnych jednostkach tektonicznych, bez mapy lektura dzieła byłaby bardzo trudna.

Niestety, jak wspomniałem, tekst nie jest kompletny. Zachował się tylko rozdział pierwszy i drugi oraz część trzeciego, brakowało zupełnie rozdziału czwartego. Nie wiadomo nawet czy brakujące części w ogóle były napisane. W każdym razie przez ich brak straciliśmy prawdopodobnie oryginalną syntezę tektoniczną pewnej części Karpat. Dobrze, że do zachowanej części pracy udało się dorożyć ilustrującą zagadnienie mapę.

Przy tej sposobności wspomnę jeszcze, że z materiałów pozostałych po Swiderskim udało się Instytutowi Geologicznemu wydać fragment arkusza Rabka w skali 1:100 000, którą to mapę autor zamierzał wykonać w całości.

Nie tylko jednak prace pośmiertne wymagają przed ich wydaniem uzupełnień i korekt, żywi też często tego potrzebują, czego sam doświadczyłem na własnej skórze. Pod okupacją w latach 1941—1944 opracowałem znaleziska makrofauny z północnych Karpat fliszowych. Z pierwszą redakcją tej pracy uporałem się tuż przed samym końcem wojny. Gdy po wojnie dostałem jedyny ocalały egzemplarz maszynopisu, skrupulatnie przechowany przez mego dawnego szefa w Stacji Geologicznej w Borysławiu — dra Konstantego Tołwińskiego, dzięki czemu praca ta ocalała (za co mu jestem do dziś jeszcze, już po jego śmierci, niezmiernie wdzięczny), okazało się, ile jeszcze jest do zrobienia przed oddaniem tej pracy do druku. Trzeba bowiem było zrewidować cały materiał wymagający wielu zmian i uzupełnień w tekście i na mapie, gdyż w czasie wojny nie miałem dostępu do wielu drukowanych prac, a tym bardziej do archiwów, należało też wprowadzić do tekstu i na mapie nowe znaleziska dokonane w czasie wojny lub bezpośrednio po niej i wreszcie trzeba było przyjąć jednolity, ogólnie stosowany w Wydawnictwach Geologicznych sposób zredagowania pracy tego typu, a na koniec uzgodnić nazwy miejscowości w tekście i na mapie.

Wnet jednak przekonałem się, że przerastało moje siły, abym mógł tego dokonać w odpowiednio krótkim terminie. Wobec tego zwróciłem się do profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego Mariana Książkiewicza z prośbą o pomoc, której mi nie poskąpił, przydzielając do mej pracy swoją uczennicę mgr Jadwigę Urbaniak, która bardzo dobrze wywiązała się ze swego zadania. Tak więc, dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności (ocalenie mej pracy przez K. Tołwińskiego) oraz przy współpracy J. Urbaniakowej mogłem mój rękopis uzupełnić, poprawić i w skończonej formie wydać (Stanisław Krajewski, Jadwiga Urbaniak: *Znaleziska fauny w północnych Karpatach fliszowych*. Część I. *Wielokomórkowce (Metazoa)*. Biul. Instytutu Geologicznego, 179, 1964 r.) w 20 lat po napisaniu pierwotnego mego rękopisu. Umożliwiło to nam podnieść ilość podanych form paleontologicznych do przeszło 1600 z około 430 miejscowości. Dzięki temu praca nie tylko nie została zmarnowana, ani zdezaktualizowana, lecz nabrała więcej treści.

Nie będę mnożyć więcej przykładów, których można by jeszcze wiele przytoczyć z naszej literatury geologicznej, gdyż nie wniosłyby one nic nowego do omawianego zagadnienia. Ograniczyłem się tylko do kilku przykładów, z których dwa pierwsze wykazują, jak brak odpowiedniej opieki nad rękopisem może doprowadzić, w pierwszym przypadku, do kompletnego zmarnowania pracy, w drugim zaś — do wielkiej deaktualizacji dobrze napisanego tekstu. Pozostałe przykłady wykazują, jak przy należytej opiece i opracowaniu przez odpowiedniego redaktora, a nawet jak w przypadku Czarnockiego, całego zespołu redaktorów, praca nie tylko nie traci, lecz przeciwnie zyskuje, bogacąc się w treść i stając się przy tym bardziej zrozumiałą, przejrzystą i aktualną.

Z powyższego wynikają dwa wnioski. Po pierwsze — należy starać się, aby prace możliwie szybko wykańczane przez autorów były możliwie jak najprędzej publikowane i tu widzę wdzięczne pole dla *Kwartalnika Geologicznego*, któremu poświęcam ten artykuł, aby przez skrócenie cyklu produkcyjnego ułatwić szybkie ukazanie się pracy. Po drugie zaś — gdy zabrakło autora — wydawnictwa powinny starać się o dobór redaktorów nie tylko odpowiednio przygotowanych w danej dziedzinie, lecz również związanych zainteresowaniem z tematem pracy i sentymentem z jej autorem, oraz w miarę możliwości nie obarczonych innymi zajęciami.

MARNOWANIE SIĘ ZBIORÓW

Na zakończenie chcę tu poruszyć mimochodem jeszcze jedną kwestię, chociaż właściwie nie łączy się ona ściśle z *Kwartalnikiem Geologicznym*. Skoro mówiliśmy o marnowaniu się rękopisów, to warto dla uzyskania całości obrazu wspomnieć o marnowaniu się zbiorów geologicznych.

Podobnie jak marnowanie rękopisów, tak samo i marnowanie zbiorów może mieć różne przyczyny. I tutaj mogą odgrywać rolę wypadki losowe, nieumiejętność obchodzenia się ze zbiorami, następnie lekkomyślność i brak zabezpieczenia zbiorów, a wreszcie karygodne niszczenie zbiorów w celach handlowych.

Wojny i pożary dotyczą również rękopisy, jak i zbiory. Wiadomo jak zupełnie zostały zniszczone w czasie oblężenia Warszawy zbiory Uniwersytetu Warszawskiego, z przebogatych zaś zbiorów Instytutu Geologicznego ocalało szacunkowo biorąc około 30%, niektórych nawet mniej. Zwłaszcza silnie ucierpiały cenne zbiory Jana Czarnockiego, które jako wzorowe wystawione były w gablotach, a więc szczególnie narażone na zniszczenie podczas bombardowania.

Inną przyczyną marnowania się zbiorów jest nieumiejętne obchodzenie się z nimi przez osoby niefachowe, np. przez rodzinę zbieracza. Podam tu pewien tragicomiczny wypadek. Chodzi tu o zbiory Ludwika Zejsznera, wybitnego geologa z połowy ubiegłego stulecia. Zbiory te o dużej wartości naukowej zapisał Zejszner Muzeum im. Dzieduszyckich w Lwowie. Rodzina szanująca wolę zmarłego wypełniła ją, jak jej się zdawało, najlepiej. Nie orientowała się jednak zupełnie, że okazy, aby mieć jakąś wartość naukową, muszą być połączone z etykietkami, podającymi przynajmniej nazwę okazu i miejsce jego znalezienia. Tymczasem rodzina, nie chcąc „zaśmiecać” papierkami zbiorów, osobno odesłała okazy, osobno zaś etykietki bardzo porządnie ułożone. Nie trzeba dodawać jak zbiory te straciły na wartości.

Szczyściem w Muzeum im. Dzieduszyckich pracował wówczas Józef Siemiradzki, profesor paleontologii na Uniwersytecie Lwowskim. Wziął się on do żmudnej i niewdzięcznej pracy „dopasowywania” etykietek do okazów. Ale na to nie wystarczyła nawet jego olbrzymia erudycja, z której był znany. Część etykietek została widocznie źle dopasowana, do reszty straciło się zaufanie.

Zbiory paleontologiczne Zygmunta Bośniackiego zmarnowały się tak samo jak jego praca, o której mówiliśmy już poprzednio, przy czym zbiory marnowały się dwukrotnie. Jego pierwszy zbiór, liczący 114 gatunków, spalił się w latach siedemdziesiątych, był to więc przypadek losowy. Na przykładzie tym widzimy, że pastwą pożarów stają się rękopisy i zbiory okazów nawet bez wojen. Nie zrażony tym Bośniacki zgromadził drugi zbiór, liczący 33 rodzaje i 91 gatunków. Miał on stanowić podstawę dla pracy, o której mówiliśmy. Co się stało z tym zbiorem, nie wiadomo. Jan Nowak, autor artykułu o Bośniackim w *Polskim Słowniku Bibliograficznym*, t. II, podaje, że Bośniacki zapisał swoje zbiory, rękopisy i bibliotekę dla Muzeum im. Dzieduszyckich we Lwowie, przy czym autor podaje nawet dokładną datę tego zapisu: 1.I.1910 r. we Lwowie, ale zapis ten nigdy nie dotarł na miejsce swego przeznaczenia i co się z nim stało, nie wiadomo. Może zaginął on przy sprzedaży wille w 1920 r., na rok przed śmiercią Bośniackiego? Byłoby dobrze, żeby przy ułatwionych obecnie okazjach wyjazdu za granicę ktoś udający się do Włoch zainteresował się tą sprawą. Warto przy tym pamiętać, że o zbiory te starało się British Museum, Wiedeń i Monachium.

Jak widzimy, pierwszy zbiór Bośniackiego przepadł wskutek wydarzeń losowych, drugi zaś w wyniku niezabezpieczenia zbioru przez spadkobiercę.

Ostatni wreszcie przypadek, bardzo przykry i bolesny, który tu zacytuję, to zmarnowanie bardzo cennych zbiorów przez ich zdekompletowanie. Tak stało się z olbrzymią, wiele tysięcy okazów liczącą kolekcją z Jury Krakowskiej Kazimierza Wójcika. Kolekcja ta dała mu podstawę do napisania wielkiego, przeszło stustronicowego dzieła pt. *Bat, kelowej i oxford* — Rozpr. PAU, 1911 oraz nagrodę tejże Akademii. (Po przeniesieniu się Kazimierza Wójcika z uniwersytetu krakowskiego na poznański, zbiory jego powędrowały za profesorem. Wkrótce jednak Wójcik złożony ciężką chorobą przestał interesować się swymi zbiorami, a wreszcie zgodził się na przeniesienie ich z powrotem do Krakowa, gdzie umieszczono je w Muzeum Komisji Fizjograficznej PAU. Zdekompletowanie tych zbiorów w Krakowie nastąpiło wskutek pożaru gmachu Akademii, część zaś zbiorów pozostawiona w Poznaniu została zdewastowana przez hitlerowców.

I tak przypadki losowe sprzysięgły się na zniszczenie olbrzymiego zbioru, który mógłby być dumą i ozdobą naszych muzeów na skalę światową.

O ile do marnowania się prac naukowych można nie dopuścić, dając autorom możliwość szybkiego publikowania prac, i tu podkreślam raz jeszcze rolę *Kwartalnika Geologicznego*, to zniszczeniu zbiorów można chyba przeciwdziałać szeroką akcją propagandową i zabezpieczającą.

Станислав КРАЕВСКИ

VERBA VOLANT, SCRIPTA MANENT

Слова исчезают, написанное остается

Резюме

По случаю издания Геологическим Институтом 50 тетради „Геологического Квартальника”, а также 50-летия Института автор рассматривает значение этого журнала с точки зрения охраны научных работ, которые, чем дальше ждут опубликования, или вообще не публикуются, тем больше подвержены деактуализации или даже уничтожению. Это представлено на ряде примеров из истории польской геологии с приведением причин и результатов этого явления, а также с указанием средств, при помощи которых можно предотвратить эти случаи и роли, какую при этом может сыграть „Геологический Квартальник”. Мимоходом также обращено внимание на уничтожение коллекций и сопутствующие этому обстоятельства также с приведением польских примеров этого явления.

Stanisław KRAJEWSKI

VERBA VOLANT, SCRIPTA MANENT

Words fly away, scripts remain

Summary

On the occasion of the 50th anniversary of the Geological Institute and of the edition of the 50th volume of „Kwartalnik Geologiczny”, the present author discusses the significance of this periodical and emphasizes the necessity of protecting the scientific works that the longer wait for printing, the more are exposed to destruction, or can be out of date, apart from the fact that they do not appear at all. This problem is exemplified by a series of the facts observed to occur in Polish geology, and supported by the causes and effects of such a disadvantageous phenomenon. Remedial steps, which can be helpful here, are presented, and the role played, in this situation, by „Kwartalnik Geologiczny”, is stressed. By the way, the problem of destruction of collections is elucidated, and certain examples of this problem, observed in Poland, are given.